NUMER 43. DNIA 4. LISTOPADA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

JÓZEF BECK.

„Pójdź ze mną“...

Czy miałaś kiedy uczucie świętości w duszy?

To uczucie — to jest właśnie Królestwo Boże na ziemi! Nie trzeba nic, nic — form żadnych, żadnych gestów — tylko czysty stan duszy. Bezwzględna harmonja jedności, w której wszystkie dźwięki życia zlewają się w jeden ton. — Wszystko znika wówczas, co jest światem zewnętrznym, a raczej cały świat zamienia się w jakiś uśmiech, który c z u j e s z w duszy. Wszystkie ściany ciemne w wielościennej bryle duszy — te uczucia złe i nienawistne — rozsuwają się — i czujesz przestwór ducha nieskończony i lotny... Lekko, bo znikł lęk, ten balast, trzymający aerostat duszy nizko, przy ziemi. Znikł lęk — ten szatan, od którego postaci olbrzymiej pada ustawiczny cień, głęboki cień na duszę twoją i każe jej b ł ą d z i ć w labiryntach życia. Znikł lęk przed cierpieniem, przed troskami — lęk przed jutrem, przed myślą o kawałku chleba. Czuje wtedy człowiek, że jest sam dla siebie światem, i że ta reszta ludzi i rzeczy to tylko dopełnienie jego bytu. Bóg stworzył świat dla człowieka — czuje się wtedy. A wiedza mówi: to żart! — A dusza mówi: świat stworzony dla człowieka, dla każdego człowieka, dla każdego j e d n e g o człowieka. — Później wiedza także na to zgodziła się: świat jest dzieckiem ludzkiej myśli, „sumą wrażeń“ — a w chwilach świętości duszy ja c z u j ę to samo, co mówi Pismo, co mówi wiedza...

Uczucie to jest krótkotrwałe — znika, gdy człowiek przestaje patrzeć w głąb, a musi dotknąć ręką twardej rękojeści pługa, kosy, i iść, i siać, i żąć, i kuć... Stąd ta tęsknota do samotności u ludzi wnętrznych, ta chęć przedłużenia życia tego uczucia.,. w Gaju świętym, czy na Wyspie umarłych. Bliżej określić się to uczucie nie da, bo jest absolutem, opanowuje duszę, nie zostawiając miejsca na myśl, tę wiecznie czającą się, wiecznie notującą myśl-sędziego, myśl-kata.

Ale to wiem, że uczucie to rodzi się najczęściej — z bólu.

Z bólu, który trwa długo, kiedy dusza rozdziera się od góry do dołu, jak zasłona świątyni w chwili największego mroku, jaki padł na tę ziemię!

...A potem wraca życie: lęk, żądza, komunał i... śmiech.

Najczęściej nie mamy odwagi chcieć tego, czego chce nasza dusza.

Ileż to razy na usta nasze ciśnie się wyraz: bracie!, a z warg spada zimny, nic nie mówiący tytuł. Nie mamy odwagi żyć w zgodzie z samymi sobą. W ciszy i głębi serc naszych rozlega się przeczysty dźwięk wielkiego dzwonu — a usta nasze mówią frazesy. Jest więc kłamstwo. Jesteśmy bowiem gorsi na zewnątrz, niż w istocie swojej wewnętrznej. W Gaju świętym jest dusza nasza i śpiewa, a czysta melodja śpiewu tego przedziera się przez gąszcz rozkołysanych wichrem drzew, łamie się, rozrywa, kaleczy. Błędny ognik dusza nasza: chwieje się, ucieka, płoszy przy najmniejszym ruchu na ziemi. Kłamiemy sobie, kłamiemy ludziom.

Czy t y l k o ludzie s i l n i mogą być sobą? Czy tylko czyny silnych mogą być krystalizacją ich ducha, odgłosem melodji wewnętrznej? Co to jest człowiek silny? Oto przedewszystkiem człowiek mocno wierzący. Cechą wielkości czynu nie jest jego ogrom. I dziecko może być bohaterem, gdy ma tę odwagę, o której mówią, że jej zwykle ludziom brakuje. Najsłabszy człowiek może być sobą, a więc tem wszystkiem, o czem mówiłem: prawdą i twórcą. Chodzi tylko o wyznaczenie właściwych granic działaniu swemu: o mniejsze lub większe wycofanie się ze stosunków z ludźmi. Można działalność i twórczość

swoją zamknąć na kimś drugim jednym, na dziecku czy na kwiatach. A wreszcie można najzupełniej wyodrębnić się od ludzi i tworzyć piękno w samym sobie, nawet z siebie samego. Tylko trzeba mieć zawsze oko utkwione w przeczystą powierzchnię zwierciadła duszy, ucho zwrócone ku pieśni, która płynie z głębin naszej istoty...

Stamtąd powstała Ewangelja, — tak powstał Chrystus i nasza miłość i uwielbienie dla Niego.

Spisano miljony arkuszy z myślą o tem, jak rozwiązać „kwestję socjalną". Wskazywano setki dróg, zapominając zwykle o jednej: w głąb siebie. Cały kłąb zagadnień, cały wir sprzeczności znika nagle wobec tych dwóch haseł: „Pomóż mi!" i „Zróbmy to razem". Żadna inna recepta nie jest tak prawdziwa, ani tak jasna.

Oto sam jestem dla siebie, własną pracą opędzam swoje potrzeby, a kiedy wyciągnąć nie mogę wiadra ze studni zbyt głębokiej, mówię drugiemu człowiekowi: „Pomóż mi! a jutro ja ci dopomogę przydźwignąć kamień pod cokół twego domu". Bo tylko do pomocy wezwać drugiego człowieka pozwala dusza nasza. Wszystko inne jest wyzyskiem, najmem, niewolą — czynem naszym zewnętrznym. Gdy pracuje dla nas „służąca", „robotnik", „parobek", „oficjalista" — stosunek nasz do nich jest kłamstwem.

Uczyńmy ciszę konfesjonału — ale nie tego pod zimnemi sklepieniami kamiennej świątyni, tylko tę ciszę nocy letniej pod niebem od gwiazd roziskrzonem... Zostańmy sami z sobą, wpatrzeni w nieskończoność wszechświata, myślą szybujący wraz z ziemią wśród ciemnej, przepaścistej i lodowatej próżni między gwiazdami... Czy wówczas, gdy zajdzie potrzeba, może z ust naszych wyjść okrzyk „pański"? Wówczas możemy tylko wezwać człowieka — nie potrafimy przywołać parobka...

Jesteśmy w tłumie ludzi, śpiewających pieśń wyzwolenia; tłum przesuwa się po ulicach wielkiego miasta; z dachów powiewają sztandary; z okien padają kwiaty, na placach grają orkiestry. Dusza nasza rozkołysała się w wielki dzwon. Płaszcz mi zaciężył. Czy mogę, czy się zdobędę na to, aby idącemu przy mnie z tą samą pieśnią wolności silnemu pracownikowi młota — zapłacić, aby mi ulżył ciężaru, pod którym się uginam?

A oto umiera człowiek. Na twarzach obecnych czyta nieubłagany wyrok śmierci. W wyczerpanym mózgu jego powstał lęk — i przyszło kamienne przerażenie. Chwila... i z odmętów duszy powstaje, jak jęk, modlitwa: „O Matko Chrysta, Panno! Ulituj się nademną!" Wszystko się chwieje... Obok stojący sługa mocno uścisnął omdlewającą rękę, przycisnął ją do serca... i przywołał spokój obłąkanemu ze strachu. — Jakiem mu wówczas spojrzeniem zapłacę?

We wszystkich chwilach radości, modlitwy, bólu, gdy dusza aż do dna wzruszoną zostaje — usta ludzkie wymówić mogą w potrzebie tylko te dwa słowa: „Pomóż mi"!

„Zróbmy to razem!" — to wszystko, czego każdy sam zrobić nie może, a co jest ogólnie potrzebne. W stowarzyszeniu niema ani przedsiębiorcy, ani kupca, niema zysku jednego, a straty drugiego. W stowarzyszeniu człowiek przestaje być w stosunku do drugiego psem, wilkiem, lisem, czem jest od wieków, a czem na krótką chwilę przestał być od czasu, gdy się spełniła Wielka Ofiara. — Trwało to jednak niedługo... Znowu zapanowały i rządzą: lęk i chciwość, zemsta i wyzysk. Ludzkość już dawno nie wypełnia nakazów Testamentu. Zostały formy, wizerunki, szeptanie pacierzy. Gorzej: nadużywa się świętego Imienia, jako hasła do krwiożerczych walk i rzezi. Monarchowie wysyłają zastępy na bój w imię Boże i dziękują potem Bogu-Jahwie, że pobłogosławił ich orężowi.

— — A ludzkość tymczasem szuka Zbawiciela. Pielgrzymki, klasztory, umartwienia, tanie miłosierdzie z okruchów, spadłych ze stołu. — A w Testamencie od wieków lśnią słowa:

„Gdzie dwóch z was zejdzie się w Imię Moje — tam i Ja będę z wami"!

Z kościoła Panny Marji w Krakowie, z tej świątyni, którą pobożni ogarniają takiem miłosnem spojrzeniem, w której dusze nastrajają się na taki ton wysoki, gdzie do dzieci zstępuje srebrny anioł, bierze ich serca i na swych skrzydłach unosi na chwilę w górę i kołysze je w takt fal muzycznych, spadających z chóru — z kościoła tego, jednej z przystani dla pielgrzymów, wyniesiono małą złotą puszkę z Hostją przenajświętszą — przy ołtarzach nie odprawia się Ofiara. I oto czem jest teraz ta świątynia? Dla tłumów może pozostać tem, czem była: wszak w niej są ołtarze, obrazy, rzeźby, chorągwie. Dla innych, szukających Ofiary w świątyni — dekoracją.

Puszkę z Przenajświętszym Sakramentem

ukrył, chroniąc przed ogniem, przed napadem „niewiernych“, skromny kapłan w prostej, ubogiej izdebce...

Dokąd pójdą ci „inni“?... Oto uklękną w progu ubogiego domostwa, bo tam mieszka ich Bóg! Dusze ich napełni jasność niebiańska, śpiewać będą pieśni dziękczynne pod sufitem z desek, pobielonych wapnem. Kto wie, może szczęśliwsi będą, bo może uczują się bliższymi Boga swego w tej izdebce o oknach z małemi szybkami...

— — — — — — — — — — —

Czy człowiekowi, który w duszy swojej ma gwiazdę betleemską, potrzeba szat z cienkiego jedwabiu, udźców sarnich, gumowych szyn na kołach pojazdów i miękkich dywanów pod stopy?

A jeśli w sercu człowieka nie spełniła się nigdy Ofiara — czem mu jest to wszystko?

— — — — — — — — — — —

Mam ją już — tę gwiazdę olśniewająco-jasną! Prześwietla i barwi wszystko: i lniane nici mej odzieży i niepobielane ściany mej izby.

A kiedy nie mogę usunąć kamienia z drogi mojej, mówię sąsiadowi swemu: „Pomóż mi!“ A jeśli potrzebujemy znieść drzewo z lasu, by ograć niem izby, mówię: „Zróbmy to razem“.

A więc: Wyzwolenie

Zanim Państwo przyszłości — Ludowe Państwo Pracy — usunie najem i wyzysk, a Sprawiedliwość zasiadłszy na tronie, otoczy się nie strażą z pałaszami u boku i łańcuchami w ręku, lecz hufcem mędrców, poszukujących w długich dysputach podstawy do wyroku — zanim to nastąpi — w Wyzwoleniu dźwięczy pobudka do walki z kwestją socjalną. W wyzwoleniu się z wielu „potrzeb“ — początek drogi przez pustynię upalną do krainy obiecanej — braterstwa ludzi.

Oto dwoje młodych. Kochali się oddawna. Liczne i rozmaite przeszkody rozbudziły w nich tęsknotę, przeczucie tysiąca uciech. Aż nareszcie drogi ich spotkały się na polanie leśnej, gdzie zamieszkali razem. Kochają się miłością młodych, bujnych organizmów. Wszystkiego im brak: przez dach do izby zacieka woda, rzadko mają świeży pokarm, bieliznę piorą w potoku i suszą na słońcu lub nad ogniskiem, chodzą w najprostszem ubraniu.

A ileż to oni mają chwil świętości w duszach... Nie potrzebują prawie niczego. Przed jednem tylko czują lęk: aby nie dostrzec, jak obłok smutku powlecze oczy drugiego.

Długim był ich ból — i dusze ich były rozdarte od góry do dołu — — — — —

Zimowy sonet.

Bieluchny, miękki śnieg zaległ ugory...
Z cichych pól wiatr mi niesie wieść radosną,
Że na mych oknach lilje wyrosną,
A za oknami drzew mi rozhowory

Cudnie grać będą w zimowe wieczory —
Że przyjdą starcy i powieść miłosną
Co wieczór będą mi snuć, zanim posną,
A gdzieś... z zachwytu płakać będą bory...

I oto izby mej otwieram wnętrze:
Niech przyjdą starcy, niech snują powieści,
Niech płyną z dali melodje najświętsze,

Co duszę wiodą na Nieznane Brzegi
I tam, jak gwiazdy, konając bez wieści,
Całują śniegi... Ciche, białe śniegi...

Feliks Gwiżdż.

Lwowskie znaki bibljoteczne.

Nie o bibljoteki chodzi w niniejszym artykule ani o ich historję, ale o znaczki bibljotek lwowskich, one napisy, podpisy, etykietki, pieczątki, wyciski, którymi każdy właściciel księgozbioru tak chętnie oznacza swe księgi. Nie ma bowiem zbieracza, któryby nie pragnął niejako zindywidualizować zbioru swego tak, że nieraz aż złość porywa na widok jak pierwsze, zwłaszcza tytułowe karty książek starszych upstrzone są najrozmaitszymi autografami poprzednich właścicieli, ich pieczątkami i różnymi znakami. Mają one czasami chronić książkę przed kradzieżą, czasami przypomnieć pożyczającemu, że należy oddać ją temu, od kogo się pożyczyło, a czasami zadokumentować w sposób monumentalny posiadanie własnego księgozbioru.

Najpiękniejszym monumentem bibljoteki jest „ex-libris“, obrazek sztychowany, lub tylko ozdobnie wydrukowany z nazwiskiem właściciela, oraz zwykłym dodatkiem „ex-libris“ z „księgozbioru“, który nakleja się na wewnętznej stronie oprawy każdej książki. Artystyczna piękność nie-

których ex-librisów pociągnęła ku sobie zbieraczy. Poczęto gromadzić ex-librisy i znaki bibljoteczne, a amatorstwo tego rodzaju uszlachetniło się głównie tem, że znaki bibljoteczne stanowią równocześnie materjał do historji księgozbiorów.

Zwyczaj naklejania takich, mniej więcej ozdobnych, karteczek na książkach, z napisem *„ex libris*“, „z księgozbioru...“ i t. d., dawny jest, a tylko kolekcjonowanie „ex-librisów“ od niedawna się datuje. I chociaż może sam zwyczaj ten jest błahy, z próżności ludzkiej po części zrodzony, a amatorstwo zbierania onych etykietek za dziwactwo poczytane być może, to jednak... dla dziejów kultury wielka stąd płynie korzyść.

Bo *„vincent monumenta libelli*“ — to prawda. Książka jest trwalsza ponad wszelkie pomniki, ale za to śmiertelnymi są właściciele księgozbiorów, zwłaszcza prywatnych. I wielkie bibljoteki nieraz nikną i rozpraszają się bez śladu, wchodzą w skład innych zbiorów i czasem wieść zginie, że oto istniała kiedyś taka to a taka bibljoteka, dając świadectwo kulturze swojego czasu, swojego właściciela, siejąc dokoła i światło i wiedzę i na co tylko stać księgozbiór — krynicę mądrości. Jeżeli przeto właściciel bibljoteki za pomocą „ex-librisu“ chce zadokumentować swoją własność, to później, kiedy ta własność w inne przejdzie ręce lub zgoła rozprószy się, „ex-libris“ jest czasem jedynym świadkiem jej istnienia, a zbieraczowi każe zbadać również, co wartą była ta bibljoteka, co wart był jej właściciel i jakie z niej płynęło światło.

Zbieranie i wydawnictwo ex-librisów bibljotek polskich rozpoczęło się u nas jednak dopiero wtedy, gdy u Niemców na przykład powstał już bardzo poważny szereg dzieł w tym kierunku. Ale i pierwsza, a dotychczas jedyna książka p. Wiktora Wittyga*) wykazuje liczne niedokładności i braki, których autor jest zupełnie świadom, a których możność usunięcia widzi jedynie w zbiorowej pracy amatorów i zbieraczy ex-librisów, jako dokumentalnych szczątków bibljotek naszych.

Jeżeli jednak można mieć nadzieję, że kiedyś wszystkie ex-librisy bibljotek polskich zostaną zebrane i wydane, to stać się to będzie mogło na podstawie prac szczegółowych i opracowań cząstkowych. Tylko zebranie wiadomości i znaków bibljotek z poszczególnych dzielnic kraju i miast z osobna, może się złożyć w przyszłości na całość zupełną i wyczerpującą.

W tej myśli podajemy poniżej znaki i ex-librisy bibljotek lwowskich, t. j. takich, które we Lwowie, w ciągu wieków istniały, dziś jeszcze istnieją, chociażby wcielone do innych bibljotek, lub mają jakikolwiek z miastem naszem związek.

W ciągu wieków bowiem przeminęło i we Lwowie wiele bibljotek. Z reguły bowiem istnienie prywatnego księgozbioru jest tak długie, jak długiem jest życie jego właściciela: tylko publiczne księgozbiory, które zresztą we Lwowie dopiero z końcem ośmnastego wieku tworzyć się poczęły, mają żywot trwalszy. Niema więc nawet śladu ani znaków onych bibljotek mieszczańskich, zwanych „sprzętem królewskim“, „klejnotem uczciwości“, a tylko skąpe i przypadkowe wiadomości, najczęściej w aktach spadkowych, chlubne dają świadectwo o kulturze i oświacie mieszczan lwowskich, którzy posiadanie własnych bibljotek uważali za punkt honoru i ambicji. W ten sposób dochowała się w aktach spadkowych archiwum miejskiego wiadomość o bibljotece mieszczanina Kaspra Scholca (1662), rodziny Wilczków, Jana Zalewskiego, rajcy miejskiego (1590); dra Marcina Korzeniowskiego (1650), dra Erazma Syksta (1631), Konstantego Mazapety (1650), a przedewszystkiem o dużej na one czasy bibljotece Alembeków, założonej przez Hanusza Alembeka († 1585) kupca, a przytem amatora i zbieracza map geograficznych, obrazów, sztychów, manuskryptów.

Zwyczaj naklejania ex-librisów we właściwem tego słowa znaczeniu pojawia się w bibljotekach lwowskich dopiero w ciągu ośmnastego wieku, a w pierwszej połowie wieku ubiegłego zajął jednego z najlepszych sztycharzy polskich, Jana Kielisińskiego, który, jak to później zobaczymy, ozdobił współczesne bibljoteki lwowskie artystycznemi etykietkami. Przedtem ex-librisy zastępował własnoręczny napis i podpis właściciela. Podpis taki nie jest właściwie tem, co pod ex-librisem dzisiaj rozumie się, ale jest natomiast znakiem bibljotecznym i zastępował w zupełności sztychowane, czy drukowane, czy też wreszcie wyciskane w formie pieczątki ex-librisy.

Osobny rodzaj ex-librisów stanowią tak zwane „super ex-librisy“, tłoczone zwykle na okładce książki. Ponieważ takich monumentalnych śladów bibljotek lwowskich zachowało się kilka, przeto i one powinny znaleść miejsce w zbiorku ex-librisów lwowskich.

Zbieraniem ex-librisów bibljotek polskich

*) Ex-librisy bibljotek polskich. Kraków 1903.

w ogóle zajmował się Gwalbert Pawlikowski, tak, że bibljoteka Pawlikowskich posiada dziś jedyny we Lwowie zbiór ex-librisów w liczbie 182. Z tego też zbioru, nieznanego p. Wittygowi, korzystaliśmy w głównej mierze, a po nadto wiele ex-librisów znalazło się też u jednego z prywatnych zbieraczy.

W ten sposób powstał zbiorek ex-librisów lwowskich. Czy dokładny? — trudno o tem wiedzieć autorowi, który zebrał to tylko, co się na razie zebrać dało. *Fr. Jaworski.*

(C. d. n.)

BRONISŁAW SZWARCE.

PAMIĘTNIKI.

(1834 — 1903).

(Ciąg dalszy).

Oświetlenie odbywało się łojówkami (stearyna była nowym wynalazkiem), albo lampami olejnemi, o nafcie absolutnie nic nie wiedziano. Gaz wchodził dopiero w użycie, pierwszy raz miałem go podziwiać na placu Zgody w Paryżu, gdziem także parę lat później widział nieudolne próby pierwszych lamp elektrycznych.

Miljony dziś wyrzucane na zbyteczne często a w każdym razie zbytkowe oświetlenie miast, mogły być użyte na inne cele, na przykład na oświatę ludu i na służbę zdrowia, która bardzo mało naprzód postąpiła, a nawet w wielu wypadkach cofnęła się, że wspomnę tylko o skasowanych powszechnie domach podrzutków; to też dzieciobójstwo w zatrważający sposób się rozpowszechniło. Chciałbym zaprowadzić dzisiejszą publiczność do ówczesnego teatru z rampą, t. j. rzędem świec, czy lamp przed sceną i budką suflera; co by to było za oburzenie, co za śmiech homeryczny przy pojawieniu się robotnika, obcierającego łojówki podczas najtkliwszego monologu! A jednak ręczę, że ani wartością sztuk, ani artystycznem poczuciem publiczności dzisiejszy teatr do ówczesnego się nie umywa; forma, jak w wielu wypadkach i tu zabiła treść.

Przyrządy do wytwarzania siły pojawiły się były już z końcem XVIII. i początkiem XIX. w., więc były w powszechnem użyciu za mojej pamięci; wówczas następowało ich zupełne rozpowszechnienie, mianowicie maszyn parowych, bo o elektrycznych dopiero przebąkiwano. Maszyny zaś wodne i powietrzne, wiatraki, młyny wodne, turbiny i t. p. od owego czasu wcale naprzód nie postąpiły, może nawet cofnęły się przed powszechnym naporem pary. Jestto jedno ze szkodliwych przejawień cywilizacji XIX wieku i dopiero teraz myślą znów o zużytkowaniu przypływu morza, wodospadów; pomyślą też może kiedyś o korzystaniu ze światła i ciepła słonecznego, jako siły ruchodajnej. Przy mnie więc para zawojowała cały świat, powstały parochody, coraz doskonalsze parostatki, najrozmaitsze silniki, ale to wszystko kosztem odwiecznych zapasów węgla w ziemi i lasach. W owych czasach zaczynały się dopiero żelazne koleje, których usług dla ludzkości nie myślę zaprzeczyć; ale czyśmy ich za drogo nie opłacili? Bo w rzeczywistości są one tylko ułatwieniem przewozu produkcji, a wcale samej produkcji nie pomagają; i owszem, niszczą zapasy, ogałacają kraj z roślinności i wielkie pytanie, czy ta sama siła, użyta dla powiększenia produkcji rolnej, nie byłaby stokroć korzystniejszą. Dość, że wówczas kolejarstwo było najmodniejszem i najpostępowszem zajęciem i ja miałem się także do jego rozkwitu przyczynić. Maszyny parowe przyczyniły się także do fabrycznego rozwoju najrozmaitszych przemysłów, głównie tkackiego i przędzalnego, które jeszcze wówczas istniały tylko w drobnych ręcznych warsztatach, albo u kobiet ludu; w moim Dynanie było wtedy całe przedmieście tkaczów i płótna bretońskie słynęły we Francji. Wszystko to znikło lub znika bezpowrotnie, chociaż mogłoby się wyśmienicie rozwijać przy innym kierunku, nadanym fabrykacji maszyn przy używaniu drobnych, domowych silników. Oczywistem jest, że wielka fabrykacja istnieje tylko sztucznem podtrzymaniem jej przez rządy kredytem i t. p. i nie może nigdy konkurować z drobnym przemysłem, jeżeli zapewnia robotnikowi niezależność; dlatego też wielki przemysł tak często bankrutuje, bo musi masę produktów rzucać na rynek, a drobny wytwórca się tem nie krępuje, skoro ma ziemię dla zaspokojenia pierwszych potrzeb. Pierwszy zależy od przymusowego zbytu, drugi od wewnętrznych rzeczywistych potrzeb.

Z innych maszyn, rówieśnic moich, o wiele pożyteczniejsza, bo ułatwiająca używanie siły ludzkiej, maszyna do szycia, szewnica, tylko co była wynaleziona i o niej rozumie się nie miałem wcale pojęcia. Bo też proszę się zapytać pierwszego lepszego inteligenta, czy wie, kto wynalazł szewnicę?

Tyle o nim wiemy, co o wynalazcy igły, krosien, krzesiwa — a świat oblatują nazwiska daleko mniej zasłużonych wynalazców. Nie było też wówczas jeszcze ani śladu maszyn do pisania i do rachowania.

Nareszcie przyrządy niszczące były jeszcze w dzieciństwie w porównaniu z ich stanem teraźniejszym. Uczyłem się mustry i nabijania w 12 tempów ze skałkowym karabinem i widziałem jeszcze w Azji lontowe muszkiety; działa nabijały się z przodu i zapalały się lontem t. j. drugim knotem; proch był nec plus ultra wybuchowych materji, o żadnych dynamitach, ekrazytach nikomu się nie śniło, znano zaledwie wybuchowe srebro czy złoto dla kapiszonów (pistonów). Dopiero kilka lat później zobaczyłem bawełnę strzelniczą, wyrabiałem ją nawet w szkolnem laboratorjum. O ile w tym kierunku ludzkość sześćdziesięciu lat postąpiła i jak mamy ten postęp ocenić, niech sam czytelnik osądzi.

Co do przetwórczych przyrządów i manipulacji, przyznam, że chemiczne wyrabianie ogromnie od tych czasów postąpiło; górnictwo i hutnictwo nie tyle, bo więcej ilościowo, niż jakościowo. Mówiłem już o stearynie i zapałkach; a ile się od tych czasów pojawiło ulepszeń w farbiarstwie, mydlarstwie i t. d. tego wyliczyć trudno. Obchodziliśmy się bez tego wszystkiego, bo są to po większej części rzeczy zbytkowe; ale przyznać trzeba, że ich taniość uprzystępniła dla masy ludności wiele wygód. Szkoda tylko, że przez to zaginęło wiele dawnych sposobów wyrabiania wielu przedmiotów w życiu codziennem potrzebnych. Stosuje się to głównie do gospodarstwa domowego: napitki, konserwy domowe, wędliny, octy, które się tanim kosztem wyrabiały za moich czasów, znikły pod nawałem wyrobów fabrycznych z wielką szkodą całego społeczeństwa. Sposoby te były droższe i powolniejsze, nie mogły wytwarzać w takiej wielkiej ilości, ale wyroby były często bezwarunkowo trwalsze, lepsze i zdrowsze, a głównie zastosowane do potrzeb osobistych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

GUSTAW JANSON.

DZIECKO.

(Ciąg dalszy).

— Małpa to... to?

— Ach, to ta czarownica, co mieszkała z nami.

— A, tak.

Dozorczyni spojrzeniem objęła pokój, jak gdyby oglądając się za jakąś pomocą. Raził ją sposób wyrażania się chłopca, uszy jej raniły te chrypliwe dźwięki, zdradzające niedziecięce myśli.

Malec nie zrozumiał jej cierpienia, przeciwnie, zdawało mu się, że jego uwagi ją zaciekawiły.

— Proszę posłuchać, panno — proszę mi jedną rzecz powiedzieć — zaczął po chwilce.

— Nazywaj mnie siostrą!

Otwarł szeroko oczy, w których znów widniało naiwne zdumienie.

— Mam mówić „siostro“? No, dobrze. — Zaledwie to powiedział, zdawał się żałować, ale z przebiegłym błyskiem, wskazującym, że gotów jest przystać na ten niesłychany pomysł, starał się odwrócić wszelkie możliwe podejrzenia nową wiadomością. — Nigdy nie miałem siostry.

— Żadnej? Myślałam, że tamte...

— Te dziopy tam, to nie były wcale moje siostry. Djabeł wie, skąd się wzięły. Czarownica wycyganiła je pewnie tak samo, jak mnie.

— Czy to nie była mama Eryka, którą... którą...

Znów zatrzymała się i znów dziecko zaprotestowało żywo:

— Ona moją matką? Klawo ją urządził tokarz, da mi kilka dni spokój — myślę.

— Drogi Eryku!

Chłopiec zdawał się nie słyszeć. Gorączka rozpaliła mu twarz i z oczyma szklącemi mówił:

— To nie byli wcale moi rodzice, nie! Wzięli mnie za stopięćdziesiąt łatów barówką. Oni żyli na wiarę. A mnie tylko tak trzymali. Moja matka jest szwoją i przez cały dzień kręci maszyną. Ona, ma się wi, nie miała dzięgów — stary płacił za mnie. Mój stary, to pan całą gębą, jak mówiła małpa. Tokarz, kiedy go napadło, wyrzucał nas z izby i sam po niej hopki wyprawiał. I czarownica nas także wyganiała, kiedy się tłukła z innymi chłopami... Słuchajno, panno, siostro, chciałem powiedzieć... czy będę tam musiał wrócić?

— Nie sądzę.

— Pyha!

Chciał wydobyć z siebie głos, któryby wyrażał radość, ale mu się nie powiodło, co go tak zdziwiło, że umilkł na chwilę.

Dozorczyni poczuła w ustach dziwny niesmak i otuliła się szalem, gdyż poczęło jej być zimno.

Po chwili znów odwróciła myśl od siebie i przykrości, jaką jej sprawiał chłopiec. Czuła dobrze, iż obowiązkiem jej było skierować jego uwagę na coś innego, niż sprawy, które miał pozostawić za sobą. Więc chociaż wszystkie te wstrętne rzeczy, świeżo usłyszane, dźwięczały jej wciąż w uszach i niemal całą izbę sobą wypełniały, odezwała się spokojnie:

— Do przybranych rodziców Eryk już nie wróci.

Gdy posłyszał w pewniejszej formie wyrażone zapewnienie, które go przedtem pocieszyło, powziął nowe podejrzenie.

— A gdzież się dostanę? — zapytał niespokojnie.

— Czy Eryk myślał kiedy o niebie?

Dolna szczęka chłopca osunęła się w dół, a brzydkie, drapieżne zęby ukazały się wraz z naiwnym wyrazem w oczach. Widocznie natężał umysł, aby odnaleść związek między swoim obecnym stanem a tem czemś nieznanem, o którem wspominała dozorczyni.

— Ach, to przecież same bajdy! — odezwał się w końcu.

— Eryku!... Eryku!...

— Głodny jestem wściekle. Nie mógłbym dostać kawy, co?

— Eryk dostanie żółteczko.

Zamiana nie zadawalniała go wcale, ale obłudnie udał, że jest rad.

— Dostanę? — zapytał, lecz nie mógł ukryć obojętności.

Dozorczyni przyniosła filiżankę z żółtkiem oraz talerzyk z ciastkami. Nie miała czasu zastanawiać się bliżej nad tonem, jakim chłopiec wypowiedział pytanie — walczyć musiała z sobą, by pokonać przykre uczucie, dławiące ją chwilami. Pojmowała, że sztuczna gadatliwość dziecka jest ostatnim błyskiem gasnącego życia, a rzucanie się myśli w rozmaite strony, to ostatni wysiłek małego mózgu i lękając się tego, co miało nadejść, pragnęła w mrok rzucić bodaj iskierkę radości. Przymusiła się do uśmiechu i pokazała talerz z ciastkami.

Oczy chłopca zalśniły się łakomstwem. Było to coś, co znał i widział zawsze tylko za szybą, odgraniczającą go od tych piękności, ale wiedział również, że to jest do jedzenia i że jest bardzo smaczne.

— Dostanę to także?

— Dobrze, tylko niech Eryczek się nie rusza i dobrze żuje, pomaleńku.

— O, dobrze, dobrze — upewniał z zapałem.

Otworzył usta, pełen oczekiwania, a w tej chwili podobny był do urwisa ptasiego rodu, do zuchwałego, zgłodniałego wróbla. Ukąsił rożek ciastka, podanego mu do ust. Pożuł łakomie i usiłował połknąć, lecz gardło odmówiło posłuszeństwa.

W najbliższej chwili wił się biedny chłopczyna w strasznych konwulsjach, wykrzywiających mu ciało. Łyżeczka morfiny, którą nieświadomie przełknął, uspokoiła go i niebawem leżał, jak przedtem.

— Djabelska sprawa! — mruknął z cicha, gdy dozorczyni ocierała mu pot z czoła. I znów myśli wróciły do tego, około czego krążyły bezustannie. — No, gdyby mnie tak teraz ta czarownica widziała, dopiero by miała frajdę! — Mówiąc to, był znów chorobliwie gadatliwym dzieciakiem, pamiętającym tylko o własnych swoich sprawach. — Myślę, że niedługo wyzdrowieję i będę mógł zerknąć na tę całą hołotę?— Dozorczyni odwróciła się, aby nie spotkać się z jego spojrzeniem. Szczera prawda byłaby zbytecznem okrucieństwem, a kłamać nie chciała. Wolała milczeć, ale chłopca to nie zadowoliło.

— Panno... siostro... powiedz, będę zdrowy? — jąkał.

Milczała wciąż, chociaż tak pragnęła odpowiedzieć uspokajająco: ależ naturalnie, naturalnie! Pojęła, jak dziecinną była myśl, która ją zajmowała dotąd. Starać się dziecku sprawić przyjemność, dając mu coś smacznego do zjedzenia było błędne, każda kropla życia, tkwiąca w nim, buntowała się przeciw temu. Przyszedł jej na myśl ów piekarz, który zapomniawszy dać drożdży do ciasta, wrzucił je później dopiero. Gdyby to wszystko nie było takie beznadziejnie tragiczne, byłaby może wybuchnęła śmiechem.

— Chce Eryk, żebym mówiła o niebie?

Nie czuła się na siłach do czegoś podobnego, lecz w poczuciu niemocy chciała przynajmniej powtórzyć to, co dobrzy ludzie opowiadają ku pociesze drugich.

Chłopiec, który trwożnie obserwował jej

niemą walkę i zaniepokoił się, wyciągnął z tego, co słyszał, swoje własne wnioski.

— Czy nie będę mógł tu zostać? — zapytał.

— Owszem. Eryk może zostać.

Pocieszyła go ta odpowiedź, lecz nie uspokoiła w zupełności.

— Jak długo? — pytał dalej, usiłując głosowi nadać brzmienie obojętne, jak gdyby sprawa nie obchodziła go bliżej i pytał tylko, byle coś mówić.

— Dopóki... dopóki... o to niech się Eryk nie pyta.

Badawczy wyraz jego oczu zdradzał, że uświadamiał sobie znaczenie jej słów.

— Aha, już wiem, nie będę mógł zostać.

Nagle głos stracił wyrazistość, a palce bezustannie szarpały kocyk.

— Eryk wkrótce dostanie się w lepsze miejsce, gdzie jest pięknie, jasno i...

— Do nieba może?

— Tak. Tam aniołowie grają na harfach, śpiewają wesołe pieśni i...

— Dlaczego mi nie wolno tu zostać?

— Eryk jest chory.

(Dok. nast.). Tłum. *J. Klemensiewiczowa.*

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Jan Lemański. Nowenna czyli dziewięćdziesiąt dziewięć dytyrambów o szczęściu. Książnicy Polskiej. t. III. Warszawa — Lwów 1906.

Osobiste twórcze interesy Lemańskiego skupiają się w trzech postulatach: artyzmu, oryginalności, dowcipu. Stanowią one jak z jednej strony bodziec rozwoju, bo cel dla osiągnięcia którego zużywa on żywą inteligencję, świetne zdolności spostrzegawcze, pomysłowość wierszopiską i fantazję — tak z drugiej strony czynnik tamujący, granicę, poza którą nie zdąża dalej. — I nie chce iść dalej. Nie znaczy to, by nie spostrzegał i nie uznawał innych celów lub dążeń. O nie! Bożyszczem jego jest Sztuka, a ta ogarnia mnóstwo rodzajów twórczości. Chce być jej zawsze czujnym pomocnikiem, chce sprzyjać jej i w ogólności ludzkiej duszy szczerym, prawym i dzielnym objawom. To bowiem czynnik rzetelnej Sztuki, rzetelnej twórczości. Takie są kierownicze momenta jego stosunkowania się do zjawisk życia i literatury. W myśl tych dyrektyw, a na swój artystyczny sposób brzydzi się Lemański i ściga dowcipem kompromis, miernotę, głupotę i nikczemność. Zwłaszcza filisterstwo czy snobizm ma w nim niebezpiecznego wroga. Bajka i satyra są mu w tej walce środkiem. A celują one oryginalną koncepcją, wyszukaną formą i dowcipem. W książce, będącej przedmiotem naszej recenzji, znajdujemy również wspomniane cechy. Ironiczną chwalbą tego, co mu jako artyście i człowiekowi wstrętne, wydobywa on tu na wierzch filisterstwo i kompromis w każdej dziedzinie życia, a ich kompromitację zostawia samoocenie czytelnika.

„Dziewięćdziesiąt dziewięć dytyrambów o szczęściu“ — raczej o drogach, jakiemi je osiągać można. Wyjątek jeden. Chwalba teorji jour-fixe'owego filozofa.

Byt jest krótki. Wierz tej tezie!
Zamiast w głupiej tkwić ascezie,
Żyj, używaj, ile wlezie!

Żyć — to kochać. Stwierdź to czynem!
Porzuć księgi! Łap dziewczynę
I wyściskaj jak cytrynę!

Kto raz umarł, ten nie wskrzesa.
Kpij pan z Arystotelesa
I z Platona! Żyj do biesa!

Nie znieprawiaj dni goryczą!
Nie peroruj moralniczo!
Nie kłam cnót, gdy żądze ryczą!

Młodyś? — użyj! Dziad? — klep pacierz!
Zdrowie masz, to niem się naciesz!
Żyj, bo raz rodziła macierz!

Gdy cię proszą Zety, Iksy,
Chodź na jour'y, bale, fix'y,
Nim cię piekieł porwą Styxy.

Ach, ileż szczęścia wszędzie indziej także n. p.:

Szczęście w firanek ażurze;
Szczęście w mebli politurze;
Szczęście w lampy abażurze.

Domek, niby małży koncha.
W domku-konsze małża-żonka
Przylepiona do mał-żonka.

Oto szczęścia abecadło:
Kuchnia, gdzie się warzy jadło,
I jadalka, gdzie je stadło.

I tak dalej. Mnożyćby można tej pysznej satyry więcej jeszcze wyjątków. Świetne są też rodzajowe obrazki, migawkowo kreślone w tych trójwierszach, n. p. bal str. 36, kawiarnia str. 39 i 40, „chwiejna złuda małżeńskości“ str. 50, „eufoniczna Warszawka“ str. 122 itd. A przytem majsterstwo wiersza wesołe i kapitalne. Rymy środkowe równoległe do końcowych:

Ogródek. Gra wiolonczela.
Zdrój wódek. Szampan gdzieś strzela.
Używa ludek wesela.

A na zakończenie jeszcze jeden wyimek... o krytyce:

Jeden tworzy, drugi krzyka.
Na to głównie jest krytyka,
Że nie czyniąc, w czyny wnika.

Ogólnik do ogólnika,
Pisarzy się style styka:
Tak powstaje stylistyka.

Dzieła męzkie i kobiece
Ma się w swojej bibjotece,
Na policach, w biurku, w tece.

Jak takt każe i taktyka.
Etyka i gramatyka —
Chwali się, lub zło wytyka.

Autor — papierośnicę;
Autorka — wdzięczne lice
Okazują tej krytyce.

A krytyk pisze stronice,
I rozwija wciąż granice...
W dochodowej swej rubryce.

Tak to walczy żartobliwie-szyderczo Lemański artysta i żali się, że Sztuka, jego MARA — gorzką jest.

Nie zówcie mnie Noemi (to jest piękną), ale zówcie mnie Mara (to jest gorzką), boć mnie gorzkością bardzo napełnił Wszechmogący. Księgi Ruth. R. II. 20.

Oto motto, jakiem opatrzył Lemański swą książkę. *Ad. Z.*

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.